

JAN
KACZKOWSKI
ZYCIE
POD PRĄD

JAN
KACZKOWSKI
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ŻYCIE
POD PRĄD

B I O G R A F I A

Wydawnictwo WAM

Spis treści

„Macie pecha, że go nie poznaliście”	7
Prolog	
czyli krótka opowieść o długiej pamięci	15
Kilogram i dwadzieścia gram	
czyli jak było na początku (i końcu)	25
Blisko ołtarza	
czyli o wierze niewymuszonej	49
Szkoła inności	
czyli historia z czasów podstawówki	73
Cztery lata samotności	
czyli historia „przejścia”	101
Życiorysy równoległe	
czyli historia kleryków niepokornych	125
Obcy	
czyli o początkach pewnej idei	155
Bliski	
czyli dzieło życia (część I)	183

„Ojciec” czyli opowieść o tęsknocie	209
Przejechany czyli zapomniana lekcja księdza Kaczkowskiego	241
Budowniczy czyli historia bardzo medialna	259
Sprawczy czyli „dzieło życia” (część II)	289
Przejechany (postscriptum) czyli ksiądz w hierarchicznej strukturze	327
Na granicy czyli historia choroby	349
Podziękowania	399
Przypisy	401
Opisy zdjęć	410

„Macie pecha,
że go nie poznaliście”

Między tymi dwiema scenami upłynęło dwadzieścia, może trzydzieści minut – tyle trwa badanie głowy rezonansem magnetycznym. Góra pół godziny leżenia bez ruchu w czymś na kształt klaustrofobicznego, podziemnego korytarza, do którego po naciśnięciu przycisku przez technika wjeżdża wysokie łóżko z pacjentem.

W scenie pierwszej jest pielęgniarka, która rzuca beznamiętnie: „wyniki będą za tydzień”. I technik, który tuż przed wjazdem do wnętrza maszyny napomina: „trzeba wyjąć z kieszeni metalowe przedmioty”.

W drugiej technik już nie napomina, tylko zawiązuje pacjentowi buty. A pielęgniarka, jak gdyby nigdy nic, wręcza mu kopertę z wynikami.

W piątek, 1 czerwca 2012 roku nic przełomowego się właściwie nie zdarzyło. Po prostu medycy w Rumi, do której przyjechał przed południem ksiądz Jan Kaczkowski, zobaczyli na swoich monitorach coś, co w jego mózgu tkwiło od jakiegoś czasu. Coś, czego działanie odczuwał i on sam, i jego współpracownicy.

Być może już w Wigilię Bożego Narodzenia roku poprzedniego. Atmosfera przed opłatkami dla pracowników puckiego hospicjum gęstnieje. Szef – obserwując podwładni – ma zmienne nastroje. Reaguje nerwowo.

„Księżdu chyba coś do głowy strzeliło” – rzuca jedna z pielęgniarek do koleżanki już w roku następnym.

„Ja cię takiego nie znam” – słyszy ksiądz Kaczkowski od współpracownicy, po którejś ze swoich trudnych do wytłumaczenia decyzji.

„Jedź na urlop, bo oszalejesz” – mówią inni.

Ci będący najbliżej mają swoje teorie. Jest przemęczony i zestresowany. Wiosna 2012 roku: za nim pracowity czas, ale też zdarzenie traumatyczne. Pod koniec zimy była w Pucku komisja z gdańskiej kurii. Trzech księży wysłanych przez arcybiskupa Sławoja Leszka Głódzia przesłuchiwało młodego duchownego, by sprawdzić, czy jego nowa inicjatywa – zakładana z przyjacielem szkoła katolicka – nie jest kościelną samowolką.

Sam też widzi, że coś jest z nim nie tak.

W kwietniu dopada go ostra grypa. Odczuwa coraz większe zmęczenie i bardziej niż zwykle dotkliwy niedowład lewej strony ciała. Drętwieją mu noga i ręka. Na trasie z Trójmiasta do Torunia, którą przemierza jako wykładowca Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, zatrzymują go policjanci. Sprawdzają, czy nie jest pijany: jego samochód jedzie „wężykiem”.

Maj 2012 roku, znów podróż. I znów „ściąganie” na lewą stronę. Podczas parkowania uderza w barierkę.

Końcówka miesiąca, ksiądz Jan Kaczkowski zgłasza się do neurologa. Dostaje skierowanie na rezonans magnetyczny. Z adnotacją: „pilne”.

31 maja Alicja Makowska, wtedy hospicyjna pielęgniarka, pobiera szefowi krew. – Wiedziałam tylko, że chodzi o kreatyninę, więc zapytałam: „Po co to księdzu?”. Odpowiedział, że ma badanie rezonansem. „Wie pani, mam kłopoty ze spaniem. No i mam taką dziwną, drętwą mordę”, powiedział, klepiąc się, jak to on, po twarzy – wspomina Makowska.

Następny poranek zapamiętała Katarzyna Parchem, wówczas koordynatorka hospicyjnego wolontariatu: – Przyszedł do biura, poprosił o śniadanie. Zesłam na dół po wyniki jego badania krwi. Wręczając mi karteczkę, pani Ala Makowska powiedziała: „Przekaż księdzu, żeby tu sobie nie wymyślał jakichś chorób, bo wszystko jest w porządku”. Wyjeżdżając na badania, zaszedł jeszcze do mojego gabinetu, by poprosić o zamówienie płyt. Chodziło o Luxtorpedę, której utwór zatytułowany *Hymn* leciał akurat u mnie w gabinecie.

*Kiedy duch i serce jest silniejsze niż ciało
To ból wśród nieszczęść uczynił cię skałą.
Tylu już przegrało, zabiła ich słabość,
Ty wśród nich wyciągasz dłoń po wygraną.
W każdym moim zwycięstwie jest pot i krew poświęceń.
Chcę ubrudzić ręce, by wybudować szczęście,
Ubrudzić ręce, by wybudować szczęście.*

*Na ziemię powaleni, wstajemy, nie giniemy –
Ta krew już raz przelana, nie wyschnie wciąż i płynie!*

*Nie czas wątpić, gdy się wali
Silniejsza ma być wiara,
A przeciwności z bara rozwalać jak taran.
Trza spalać granice starań i przekraczać słabości ciała...*

– Potem zaszedł do mnie ponownie. Poprosił, bym zamówiła jeszcze płytę Kamila Bednarka. Wsiadł w samochód. Pojechał na badania.

– Macie wielkiego pecha, że poznaliście Jana dopiero w ciężkiej chorobie – usłyszałem od Filipa Kaczkowskiego, gdy spotkaliśmy się w pierwszej połowie 2017 roku w jego mieszkaniu w Sopocie. W słowach brata nieżyjącego już duchownego nie było pretensji, że wielu z nas, dziennikarzy, zaczęło prosić księdza Kaczkowskiego o wywiady, gdy już otrzymał diagnozę: nieuleczalny glejak IV stopnia. Była raczej konstatacja jakiejś straconej szansy na poznanie ciekawego człowieka.

Z księdzem Janem Kaczkowskim spotkaliśmy się jesienią 2012 roku. Pojechałem do Pucka, by zbierać materiał do reportażu o głośnej tragedii w miejscowej rodzinie zastępczej. „Tam jest fantastyczny ksiądz, musisz go przy okazji odwiedzić” – powiedział mi przez telefon Michał Okoński, szef działu krajowego i wicenaczelný „Tygodnika Powszechnego”, gdy byłem już na miejscu. Nie wiedział, że „fantastyczny ksiądz” jest od kilku miesięcy nieuleczalnie chory.

Był koniec października, chłodne popołudnie. Staliśmy z księdzem Krzysztofem Stachowskim, proboszczem parafii Zwiastowania Pana w Żarnowcu, na terenie starej, otoczonej ceglanym murem nekropolii. Chodziliśmy między rzędami dziecięcych grobów, przydeptując spadające z dużych lip żółte liście, a on opowiadał upiorną historię dwójki dzieci zabitych w rodzinie zastępczej (ksiądz Stachowski prowadził ich pogrzeb). Gdy skończyliśmy rozmawiać, podrzucił mnie kawałek samochodem. To podczas tej krótkiej podróży żarnowiecki proboszcz – usłyszawszy, że zamierzam odwiedzić też księdza Kaczkowskiego – musiał rzucić coś w rodzaju: „Założył hospicjum, a teraz sam zmaga się ze śmiertelną chorobą”.

Później było już spotkanie z księdzem Janem, w mieszkaniu jego rodziców w Sopocie. I nagranie rozmowy – w zasadzie na inny temat niż ta,

którą zdążyłem wstępnie zaplanować. Owszem, duchowny mówił o hospicjum i pracy z trudną młodzieżą w Pucku. Ale przede wszystkim opowiadał o pierwszych miesiącach zmagania z chorobą. Rozmowa, która ukazała się w listopadzie w „Tygodniku Powszechnym”, dała początek ponad trzyletniej znajomości. Dla mnie bardzo ważnej, dla niego pewnie jednej z wielu, jakie zawarł w tamtym czasie z dziennikarzami.

Niejedna z tych znajomości zaczęła się podobnie jak moja – od jego choroby. Większość wywiadów czy reportaży dotyczyła czasu choroby. On sam opowiadał o sobie z perspektywy człowieka chorego. Chorego – dodajmy – na nieuleczalny nowotwór, który musiał radykalnie zmienić jego nastawienie do życia, a także – przynajmniej okresowo, gdy przyjmował silne sterydy i leki psychotropowe – jego psychikę.

Nie, Polacy nie poznali „innego księdza Kaczkowskiego”. To był ten sam człowiek co wcześniej. Ale po wyjeździe z maszyny rezonansu magnetycznego w okolicach piątkowego południa 1 czerwca 2012 roku jego życie pod wieloma względami musiało się zmienić.

Ta biografia powstała z ciekawości. Z ciekawości i z pytań, jakie zadawałem sobie po październiku 2012 roku, a jeszcze intensywniej po jego śmierci w marcu roku 2016. Jaki był Jan Kaczkowski przed chorobą?

W wywiadach i książkach mówił trochę o swoim dzieciństwie. Byłem ciekaw, jak wpłynęło ono na jego dalszą drogę. Siłę i wsparcie – o tym też opowiadał – dostał od rodziny. Ale jego życie to także historia zmagania z niepełnosprawnością, odtrąceniem, osobnością.

Wiele miejsca w swoich opowieściach poświęcił „synkom” – uczniom, którzy przy jego, młodego księdza, pomocy zmienili swoje życie. Zastanawiałem się, jak te relacje zmieniły jego życie. I jakie tęsknoty za nimi stały.

Mówił, że został „sklepany przez Kościół”. Ale nie znaliśmy kulisów tego „sklepania” i źródeł – tak trzeba powiedzieć – nieprzystawalności Jana Kaczkowskiego do gdańskiego Kościoła z czasów, gdy rządy w archidiecezji objął arcybiskup Sławoj Leszek Głódź.

Mówił o przytulaniu, bliskości, ale już bardzo niewiele o własnych – często niełatwych – przyjaźniach.

Opowiadał, a właściwie pokazywał przed kamerami swoją dzielność w chorobie. Ale nie mogliśmy przecież wiedzieć, jak się z tą chorobą szarpał, gdy kamery były wyłączane.

Chciałem dociec, skąd się wziął – emocjonalnie, duchowo, intelektualnie – pucki duchowny, o którym pod koniec seminarium jeden z trójmiejskich proboszczów mówił, że będzie ośmieszeniem dla kapłaństwa, a nieco ponad dekadę później ksiądz Adam Boniecki – że ratuje tego kapłaństwa honor.

Na moje pytania odpowiedziało sto kilkadziesiąt osób, znających Jana Kaczkowskiego na różnych etapach życia. Niektórych – w większości nieznanych z dotychczasowych publikacji na jego temat – uczyniłem współbohaterami poszczególnych rozdziałów. Część z nich mówi o zdarzeniach, o których on nie opowiadał. Inni na znane już fakty rzucają nowe światło.

Krótkie życie księdza Jana Kaczkowskiego było jeszcze barwniejsze, niż sądziłem. Bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem, gdy jesienią 2016 roku zabierałem się za pracę nad jego biografią. Barwniejsze i bardziej skomplikowane, czyli ciekawsze.





PROLOG

czyli krótka opowieść o długiej pamięci

– Mam takie dziwne uczucie, że on jest. Podczas choroby dużo wyjeżdżał. Gdy był w Australii czy w Stanach Zjednoczonych, znikał przecież na całe tygodnie. I teraz czujemy – nie tylko ja, bo potwierdza to też Filip, mój starszy syn – że on wciąż jest, tylko bardzo zajęty... – powiedział mi na początku 2017 roku, w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” Józef Kaczkowski, tata Jana, dla przyjaciół „Ziuk”.

– Przychodzi panu czasem przez myśl: „Może się jeszcze spotkamy”? – zapytałem go wtedy, bo ciekawiło mnie, czy on – opisywany przez syna jako ateista, a co najmniej wątpiący – ma w swoim podejściu do wiary jakieś zawahania, tak jak miewają je wierzący.

Odpowiedział, ale bodaj pierwszy raz – a byliśmy już po kilkunastu godzinach rozmów – zobaczyłem niezdecydowanie na jego twarzy: – Myślałem o tym, ale raczej nie, chyba się jednak nie spotkamy... Albo inaczej: musimy się spotykać teraz, póki moja czaszka jest jeszcze w jako takim stanie i póki on pod tą moją czaszką jest. Chyba wszystko, co robię teraz, jest właśnie po to, żebyśmy w jakiś sposób byli obok siebie. A później obaj – przez jakiś czas – będziemy się spotykać w pamięci dzieci, wnuków, może prawnuków.

Z Józefem Kaczkowskim rozmawialiśmy właśnie o pamięci. Zapytałem, czym ona jest dla niego, niewierzącego:

– Po śmierci bliskiej osoby jest wszystkim?
– Jeśli o niego chodzi, chyba tak – odpowiedział.
– Przymierza się pan do spisywania – dla potomnych – historii rodziny.
– Bo chcę tym moim gamoniom, dzieciom, wnukom, zostawić wiedzę, kim byli przedstawiciele poprzednich pokoleń. Zebrałem już sporo informacji, będę jeszcze szperał.

– Jak daleko się pan doszperał?
– Dwieście lat wstecz. Mój prapradziadek i imiennik Józef urodził się właśnie dwieście lat przed moimi wnukami. Teraz, kiedy wiem mniej więcej, kim był i co robił, stał mi się bliski. Wiem, że brał udział w powstaniu listopadowym, ale niestety po niewłaściwej stronie, to znaczy był oficerem carskiej

armii. (*śmiech*) Nie mam zielonego pojęcia, czy był sympatyczny, czy wręcz przeciwnie, ale wiem, że między innymi dzięki niemu istniejemy. Historia rodzinna to zawsze historia różnych ludzi. Nie ma się co wstydzić, jeśli były wśród nich jakieś paskudasy, ani specjalnie chwalić, jak byli ludzie dobrzy. Byli, więc zasługują na to, by o nich mówić¹.

Pamięć rodziny Kaczkowskich, Heleny, Józefa oraz trójki ich dzieci: Jana, Magdaleny i Filipa, można podzielić na dwie opowieści.



Wnętrze świątyni: półmrok, kamienne, częściowo nadpalone ściany, tak samo kamienny ołtarz. Przed nim słusznej postury ksiądz w sutannie. Nałożył ją na gołe ciało, ale pewnie niewiele to pomaga: jest sierpień, na zewnątrz piekący upał, może tylko grube mury dają jakieś ukojenie. Nikt zresztą pewnie nie myśli teraz o pogodzie. Atmosfera jest z jakiegoś powodu podniosła: kiedy kapłan – młody, choć poruszający się z trudem – zaczyna odprawiać mszę, kilka siedzących w ławkach kobiet wybucha płaczem.

– Wszystko to było poruszające: on ledwo chodzący, choć uparł się, by odprawić tę mszę, płaczące baby i osmolone mury tworzyły atmosferę, którą pamiętam do dziś. Mimo że przecież moje związki z Kościołem ograniczały się do faktu, że miałem syna księdza – opowiada Józef Kaczkowski.

Co jeszcze zapamiętał? Że świątynię – w zasadzie nieczynną od lat – otworzyła im starsza kobieta, prawdopodobnie za pozwoleniem księdza, który opiekuje się pobliską parafią; że w środku, poza nim i jego synem, mogło być góra sześć osób, chyba wyłącznie kobiet; że nie było naczyń liturgicznych, a uczestnicy przynieśli normalny, łamany później chleb i własne wino.

Czas? Sierpień 2015 roku, ksiądz Jan Kaczkowski jest nadal w niezłej – jak na etap choroby – formie. Miejsce? Wraz z ojcem kończą właśnie jedną z licznych wspólnych podróży: byli na Słowacji, w Mołdawii, Rumunii i na Węgrzech, by w drodze powrotnej zahaczyć o – odnalezioną niemalże cudem – wieś Buszcze. Położona na Ukrainie kilkadziesiąt kilometrów od Tarnopola, w międzywojniu leżała w granicach należącego do II Rzeczypospolitej powiatu brzeżańskiego (województwo tarnopolskie).

Kaczkowscy – jeśli wierzyć pamięci seniora rodziny – pojawiają się w Buszcu mniej więcej miesiąc po ważnym dla tego miejsca wydarzeniu, odnotowanym

na stronie internetowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych w 2015 roku: „W surowych ścianach kościoła rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Buszcu (obwód tarnopolski, rejon brzeżański) 26 lipca odbyła się uroczystość poświęcenia kopii obrazu Matki Boskiej Buszczeckiej. Oryginał obrazu został wywieziony w 1945 roku do Racławic Śląskich, gdzie znajduje się do chwili obecnej. W uroczystości udział wzięło wielu Polaków z pobliskich Brzeżan, wielu gości ze Lwowa i Łucka, w tym przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Łucku. To ważne wydarzenie dla katolików mieszkających na Ukrainie, gdyż jeszcze przed wojną kościół ten był jednym z najstarszych sanktuariów maryjnych archidiecezji lwowskiej” – czytamy.

Nieco dalej dowiedzieć się można więcej o historii miejsca: kościół budowano w latach 1620–44, a przygotowujący się do bitwy z Kozakami i Tatarami król Jan III Sobieski miał się modlić pod wspomnianym obrazem „o zwycięstwo nad wrogami Polski”. Świątynia, zdobyta później i zniszczona przez Tatarów, została odbudowana w XVIII wieku, zaś w międzywojniu była wykorzystywana jako magazyn, co doprowadziło do jej degradacji. Wreszcie w kwietniu 1944 roku wybuchł tu pożar.

W poświęconej kościołowi informacji MSZ nie znajdziemy wzmianki o innym historycznym kontekście. W 1944 roku w Buszcu – gdzie u progu II wojny światowej więcej niż połowę spośród ponad tysiąca mieszkańców stanowili ukraińscy grekokatolicy, nieco mniej niż połowę Polacy-katolicy rzymscy, a oprócz tego mieszkało też czterdziestu Żydów – doszło do mordu na Polakach dokonanego przez żołnierzy UPA.

Skąd jednak obecność Jana i Józefa Kaczkowskich w tym miejscu? Skąd msza, podniosła atmosfera?

– Ważnych było dla niego kilka rzeczy – wspomina ojciec Jana. – Po pierwsze, sama liturgia w tych surowych, połowych wręcz warunkach kościoła, który wiele przeszedł. Po drugie, trudna, również polska historia tego miejsca, której symbolem były osmolone ściany. Po trzecie – i najważniejsze – w Buszcu przyszedł na świat, prawdopodobnie w rodzinie grekokatolickiej, jego pradziadek, a dziadek mojej żony, Heleny.

Schyłkowy czas zaboru austriackiego: kilkunastoletni Jan Kryżanowski (później Krzyżanowski, urodzony jeszcze pod koniec XIX wieku) wstępuje do armii cesarskiej. Trafia pod Miechów, gdzie zastaje go koniec I wojny światowej, podczas gdy jego dwaj bracia – Michał oraz Dymitr – pozostaną na wschodzie.

Tu żeni się, jednak jego żona umiera wkrótce na gruźlicę. Druga, Agnieszka (z domu Pycia), rodzi dwójkę dzieci. W 1923 roku na świat przychodzi ich córka Wincetyna, wiele lat później babcia Jana Kaczkowskiego. Wincetyna zapamięta klimat zadry w rodzinie: ojciec nie będzie – poza jedną wizytą w latach trzydziestych – utrzymywał kontaktów z braćmi, z których jeden w następnej dekadzie miał ponoć związki z ukraińskimi nacjonalistami.

Krzyżanowscy mieszkają w Kamieńczycach nieopodal Miechowa – tu Wincetyna spędza dzieciństwo i młodość. Tu również zastaje ją wybuch wojny. Za mąż wychodzi jako osiemnastolatka, w 1941 roku. W roku kolejnym rodzi się jej pierwsza córka, Marysia, a po kolejnych dwóch latach Helenka, która trzydzieści trzy lata później zostanie matką Jasia, trzeciego swojego dziecka.

Dwa lata po wojnie Wincetyna zostaje młodą wdową: – Mąż na skutek działania w partyzantce zachorował na zapalenie opłucnej, o penicylinie dopiero zaczęło być głośno, i to w USA – wspomni dziewięćdziesięcioletnia babcia Jana Kaczkowskiego, po mężu Niedziela. – Miałam trzy lata dobrego małżeństwa, a potem nadszedł dla mnie, młodej dziewczyny i matki, trudny okres...

Wróćmy do sierpnia 2015 roku. Jan i Józef odnajdują we wsi przodków – wnuki braci pradziadka Jana. Chłoną ślady skomplikowanej historii miejsca. Rozmawiają o niej.

– Można powiedzieć, że moja żona, a więc i w jakimś stopniu Jan, pochodzą z mieszanej ukraińsko-polskiej rodziny, gdzie na ogół mężczyźni byli grekokatolikami, a wiele kobiet to Polki-rzymskie katoliczki – mówi mi w 2017 roku Józef Kaczkowski.



Historia druga dzieje się tysiąc kilometrów dalej; na Litwie, po dwóch stronach Niemna. – Moje korzenie to inteligencja postszlachecka, która dużo wcześniej pozbyła się obciążenia ziemiańskiego. Pradziadek ze strony mamy, Feliks Pohoski, powstaniec styczniowy, został zesłany na Syberię i nie wrócił już do swojego majątku, który był zlokalizowany gdzieś między Poniewieżem a Wilkomierzem. Rodzina ojca też żyła na Litwie, tyle że wówczas jeszcze na obszarze Królestwa Polskiego, a więc po drugiej stronie Niemna, czyli granicy Cesarstwa Rosyjskiego – opowiada Kaczkowski-senior.

Dwie ważne dla nas daty to lata 1904 i 1907, kiedy na świat przychodzą – odpowiednio – Kazimierz Kaczkowski i Wanda Pohoska. On ukończył studium nauczycielskie, a później utworzony pod koniec lat dwudziestych XX stulecia w Warszawie Centralny Instytut Wychowania Fizycznego. Ona: biologię na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Poznają się w następnej dekadzie w Białymstoku, gdzie pracują jako nauczyciele. Już jako para osiadają w Łomży, w pobliżu której mieszka jej rodzice. 2 kwietnia 1939 roku, a więc niemal dokładnie pięć miesięcy przed wybuchem II wojny światowej, przychodzi na świat Józef. Poród ma miejsce w Warszawie: Wanda Kaczkowska w Łomży rodzić nie chce, a w stolicy ma znajomych. – Byłem jedynym, późnym dzieckiem moich rodziców, w czasie okupacji nie zdążyli już nic „zmajstrować” – opowiada Józef Kaczkowski.

Wojna zastaje ich w Łomży. W jej przededniu, 31 sierpnia, ma jeszcze miejsce chrzest Józefa. Później następuje krótki okres okupacji hitlerowskiej, a 29 września 1939 roku – po tym, jak Niemcy, w myśl dwustronnych ustaleń z ZSRR, wycofują się za linię demarkacyjną wzdłuż Narwi i Pisy – do miasta wchodzi Sowieci. W ciągu najbliższych niemal dwóch lat, w ramach kilku wywózek, na wschód trafi kilka tysięcy mieszkańców Łomży i okolic. To dla dziejów rodziny Kaczkowskich o tyle ważne, że represje dotyczą głównie inteligencję.

– Tych początków, rzecz jasna, pamiętać nie mogę, ale wiem od mamy, że rodzice uciekli na jakiś czas na wieś, potem wrócili i – za co im jestem wdzięczny – podjęli jakiś rodzaj kolaboracji z sowieckim reżymem: znów pracowali w szkole, dochodząc wraz z grupą innych nauczycieli do wniosku, że nie można zostawiać młodzieży. Dzięki temu chyba wszyscy przeżyliśmy.

Niemcy wchodzi ponownie do Łomży 22 czerwca 1941 roku. Miasto staje się częścią terenów włączonych do Rzeszy. Tę część historii Józef Kaczkowski zna jeszcze z opowieści, głównie własnej mamy: – Moja ukochana ciocia, jej siostra, mieszkała w Gdyni i została podczas okupacji ściągnięta przez wuja do Warszawy – opowiada. – W ten sposób i my się tam dostaliśmy: wuj podjechał pod granicę i zorganizował przerzut.

Kaczkowscy przebywają więc przez jakiś czas w Warszawie, a resztę okupacji – w związku z problemami zdrowotnymi Józefa – spędzą w znajdującym się

na obrzeżach miasta i mającym lepszy klimat Aninie. – Oglądam sobie teraz zdjęcia z tamtego okresu: rok 1943, słońce, park, jakieś kuzynki i ja, tłusty gówniarz – kontynuuje Kaczkowski. – Obrazki niemal sielskie. Choć dziś myślę o tym zupełnie inaczej. Przypominam sobie na przykład, jak jesteśmy akurat w Warszawie, a w powietrzu latają jakieś ciemne płatki. Na moje pytanie, co to jest, mama odpowiedziała, że „palą papiery”, ale prawdopodobnie płonęło getto... Tak czy inaczej, z okresu wojny nie zapamiętałem atmosfery głodu, grozy czy strachu.

To w tamtym czasie ma jednak miejsce zdarzenie, które zaważy na życiu kilkuletniego Józefa. W 1944 roku do Warszawy zbliża się front, rodzina musi opuścić Anin. – Pamiętam, że nas rozdzielono: tata trafił do Lasu [część Warszawy, podobnie jak Anin należąca administracyjnie do dzielnicy Wawer – dopisek PW], my na Pragę – wspomina Józef Kaczkowski. – Raz doczłapałiśmy się nawet jakoś do tego Lasu, i wówczas widziałem ojca po raz ostatni.

Ślad po Kazimierzu Kaczkowskim ginie, zostają hipotezy. – Najpierw był w Pruszkowie, skąd szły transporty do obozu w Stutthofie. Trafił prawdopodobnie do filii w Policach, bo z tamtych okolic przyszła kartka. Że jest już zima i że przydałyby mu się jakieś ciepłe rzeczy...

Koniec wojny zastaje ich ponownie w Aninie, a wujostwo osiada w Olsztynie. – Ściągnęli tam naszą trójkę: mamę, babcię i mnie – opowiada Józef Kaczkowski. – My już tam zostaliśmy, oni udali się wkrótce do Sopotu.

Odtąd życie Józefa Kaczkowskiego toczy się w dwóch miejscach: w Olsztynie właśnie, gdzie jego matka pracuje jako nauczycielka, a on od 1946 roku chodzi do szkoły, a także na Wybrzeżu, gdzie spędza wakacje.

Do szkoły chodzi w czasach stalinizmu, a pierwszy świadomie zarejestrowany polityczny przełom – euforię roku 1956 – przeżywa już po rozpoczęciu studiów na Politechnice Gdańskiej. Na początku lat sześćdziesiątych bierze urlop dziekański, by – dzięki stryjowi, który trafił tam jako żołnierz Andersa – wyjechać do Anglii. Jeszcze w tym samym roku przebywający w Paryżu kolega namawia go, by przyjechał nad Sekwanę.

Po studiach przez jakiś czas pracuje jako inżynier w Polsce. Uczy się francuskiego. Pod koniec lat sześćdziesiątych wyjeżdża ponownie – tym razem w ramach inżynierskiego kontraktu – do Paryża.

Ten rozdział jego historii kończy się na pewnej imprezie w roku 1969 w paryskim mieszkaniu znajomego inżyniera z Krakowa, Andrzeja

Grychowskiego. Część jej uczestników trafia tu na zaproszenie gospodarza, inni – jak choćby pewna dwudziestopięcioletnia absolwentka romanistyki z Krakowa – całkiem przypadkowo.



Kwiecień 2017, rok po śmierci księdza Jana Kaczkowskiego. Chłodne jeszcze, choć słoneczne niedzielne popołudnie: idziemy z Magdaleną Sekułą – starszą o dwa lata siostrą Jana – i Agnieszką Jung, jej koleżanką ze szkoły, na spacer śladami ich dzieciństwa.

Zaczynamy przed kościołem świętego Jerzego w Sopocie, położonym u wylotu deptaka na Monte Cassino – minutę spacerem od mieszkania Heleny i Józefa Kaczkowskich, w którym Jan spędził ostatnie lata życia. Zaczynamy o obrzeża centrum, by willowymi uliczkami dotrzeć do położonej na północy dzielnicy Kamienny Potok. Mijamy stary, pamiętający jeszcze początek XX wieku, ceglany budynek nieistniejącej już Szkoły Podstawowej nr 3, do której chodził Jan, i przechodzimy alejkami między garażami, jakimi musiał codziennie wracać po lekcjach. Dochodzimy do dziesięciopiętrowego bloku i stajemy przed nim na grzbiecie kilkumetrowej góry.

Niewielkie wzniesienie na skraju ulicy Kraszewskiego w Sopocie może być miejscem-symbolem całej tej – naznaczonej przemijaniem – historii.

Przed nami blok, na najwyższym piętrze balkon i okna dawnego mieszkania Kaczkowskich: Magda i Agnieszka wspominają kolejne sceny z pokoi, holu, kuchni, piaskownicy, pomiędzy bloków...

Tuż za nami płot, za płotem groby. To sopocki cmentarz komunalny, na którym od roku spoczywa ksiądz Jan.

Droga ze szczytu góry do rodzinnego grobowca zajmie nam może dwie minuty. Szybki przegląd nazwisk, pokoleń i związanych z nimi epok. Mignie mi nazwisko dziadków Józefa Kaczkowskiego (Pohoskich – tych od strony mamy), jego sopockiego wujostwa (Leon Kozakowski i Emilia z Pohoskich Kozakowska), rodziców (Wanda z Pohoskich Kaczkowska, Kazimierz Kaczkowski).

I napis, który jest tutaj od ledwie roku: „Ks. Jan Kanty Kaczkowski, 1977–2016. Doktor teologii, bioetyk, twórca hospicjum w Pucku, ukochany wnuk, syn i brat”.